N° 23.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego**, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową**, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści belletrystycznej.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 26 Maja (7 Czerwca) 1871 roku

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

WOLTER.

Tyle już napisano o tym głośnym, w zeszłym stuleciu, człowieku, tyle nasłuchaliśmy się o nim, i z ust matek i z ambon i z katedr, że w żaden sposób niepodobna jest nam, w szczupłych ramach naszego pisma, nakreślić o nim cze-goś nowego, zajmującego, coby już nie było raz setny wiadomém i powtórzoném. Przedstawiając za em obecnie czytelnikom ciekawy pod względem charakterystyki jego wizerunek — ograniczamy się tylko na podaniu z życia jego samych dat i faktów, z tym zastrzeżeniem, iż nie ubliżamy przez to ani niczyim przekonaniom, ani zasadom, ani jakimkolwiek, choćby najdrażliwszym, uczuciom.

Franciszek Marya Aruet, czyli, jak się sam później zwykł nazywać, Wolter, (Voltaire), urodził się d. 20 lutego 1694 r. we wsi Châtenay, pod miastem Scaux. Ojciec jego, niegdyś notaryusz, a później podskarbi izby obrachunkowéj, oddał go na wychowanie Jezuitom, w Kollegium Ludwika Wielkiego, potém zaś sposobił na rachmistrza, ku czemu chorobliwy a nawet nieco ułomny syn niewiele okazywał skłonności.

Sławny ten autor francuzki, wierny przedstawiciel ducha i czasu swojego narodu, na który elektryzująco oddziaływał swemi pismami, zaraz od młodości wszedł na drogę literacką, jakkolwiek idąc za wolą ojca, chwilowo obrał zawód sądowniczy.

W czasie zaszłéj śmierci Ludwika XIV, dwudziestoletni Aruet był już znaną osobliwością w kole literacko-opozycyjném, i jemu wówczas przypisywano, lubo może niesłusznie, autorstwo uszczypliwéj satyry na zmarłego króla. Osadzony w Bastylii, nakreślił pierwsze zarysy do *Henryady* i ukończył Tragedyą *Edyp*, któréj dobre przyjęcie (r. 1718) pojednało go z ojcem. Zajście z pewnym znakomitym panem, otrzymane od niego cielesne razy i żądanie zadośćuczynienia, wtrąciły Woltera powtórnie w 1725 r. do Bastylii, zkąd po sześcio miesięcznem więzieniu przymuszonym był udać się na wygnanie. Od 1726 — 1729 r. żył w Anglii, i tu napisał *Życie Karola XII*, tragedyą *Brutus*, niektóre filozoficzne listy i wydał dotąd w odpisach krążącą epopeję *Henryadę*. W r. 1730 powrócił do Paryża. Lecz nowa jego satyra: *Le temple du gout* (1733), tragedya *Cezar* (1735) i dalsze listy filozoficzne, powaśniły go znów z akademiją i duchowieństwem. Przez następne trzy lata bawiąc w Cirey w Lotaryngii, u swéj przyjaciółki, margrabiny du Châtelet, wypracował większą część swoich poetycznych i filozoficznych dzieł, z których znaczniejsze są trzy tragedye: *Alzyra*, *Mahomet* i *Meropa*. W tym czasie używał już wysokiéj literackiéj sławy. Fryderyk II, król pruski, okazywał mu zaszczytne względy. Podziwiał go cały wyższy świat europejskich dworów, i sam nawet dwór francuzki usunął względem niego dawniejszą swą niechęć, do tego stopnia, że w r. 1746 otrzymał krzesło w akademii, urząd królewskiego historyografa i szambelaństwo.



Wolter.

W r. 1750 przyjąwszy wezwanie Fryderyka II, zamieszkał w jego zamku, ozdobiony orderem za zasługę i wynagrodzony 600 talarami pensyi. Przyjacielskie te stosunki były bardzo krótkie. Z własnéj winy powaśniony z królem, 1753 r. dwór jego opuścił. Odtąd Wolter osiadł w Szwajcaryi, gdzie nabywszy dwie majętności: Tourney i Ferney, przeżył w téj ostatniéj większą część swojego życia.

W tym właściwie dopiero czasie literacka jego działalność, w wyrazistych zarysach, jawnie i bez ogródek, zaczęła występować w walce słowa i pióra, przeciw chrystyanizmowi. Przybywszy w lutym 1778 r. do Paryża, stał się przedmiotem powszechnych hołdów, a raczéj apoteozy, od których nie uchylała się nawet dawna jego nieprzyjaciółka, akademija. Zmarł w dniu 30 maja 1778 r. a zwłokom jego odmówiło duchowieństwo religijnego pogrzebu. Dopiero rewolucya, w uroczystym obchodzie szczątki jego złożyła w Panteonie.

Wpływ Woltera na wiek XVIII, jest bez zaprzeczenia wielki.

Przewodnią myślą wszystkich jego prac, była oppozycya przeciw dotychczasowym kościelnym i literackim powagom.

Walkę tę wytrwale i z zaciętością prowadził przez lat 50.

W przekładzie polskim mamy następujące dzieła Woltera: *Henryada*, tłumaczenie Chodaniego (Kraków 1805 r.) i tegoż *Wiersz*

o człowieku(Kraków 1795 r.). LudwikOsiński przełożył tragedyą *Alzyrę*, i bezimienny: *Dzieje Karóla XII* (Kraków 1800. r.)

PLEBAN.

(*Dokończenie*).

Jako uczył cnoty dzieci,
Czy pojmował bliźnich ducha,
Niech ten wzorek nam wyświeci—
A kto łaskaw, niech posłucha.

III.

Otóż w pewném, bliskiém siole,
Sąsiad biedny, obcy z rodu,
Umarł nagle. W ludzkiém kole
Dwie sierotki umrąż z głodu?
Był to jeden przybysz w wiosce,
Więc gromada osądziła,
Iż nie rzecz jéj, ani siła,
Obce dzieci wspierać w trosce.
Ksiądz rozważył to u siebie—
I zrozumiał rychło wcale,
Iż ciemnota cnotę grzebie,
Jako perły mętne fale.
Lecz cóż począć w téj potrzebie?
„Głos poniosę do nich Boski!"
I natychmiast po pogrzebie
Zszedł do owéj biednéj wioski.
Zima była ciężka, ostra,
Wicher zda się wskroś przenika..
Dwie sierotki, brat i siostra,
Jęczą w chacie nieboszczyka.
Ona—ledwo ma pięć latek,
On, od siostry starszy rokiem.
Iluż ojców, ile matek,
Patrzy na nie zimném okiem!...
Struchlał kapłan gdy do chaty,
Wszedł, spotkawszy nędzy ślady.
A wokoło lud bogaty!
Ha, trza działać! Niema rady!
Wyszedł z chaty, a tuż w koło
I lud wiejski, przywabiony
Takim gościem.
„Pochwalony,
Rzecze mistrz, odkrywszy czoło.
Niechaj będzie ten co z Nieba,
Wam posyła łaski swoje—
I nie skąpi zdrowia, chleba!
Lecz tam bracia, sierot dwoje!
A sieroty, dzieci Boże!
Bogu któryż z was nie dłużny?
Któż z was Boga dziś wspomoże?—
Od was czeka On jałmużny!
On, Pan świata, dla swych dziatek,
Błaga ludzi o ostatek,
Z biesiad, błaga o okruchy!
Przebóg!.. Człowiek będzież głuchy?
Powiadacie, te sieroty
Obce dla was, innéj wiary?
To nie wasz głos, lecz ciemnoty!
To nie światło, to grzech stary!
Wiara taka, lub też owa,
Z Nieba spływa w serce człeka!
Bóg o każdéj wyrok chowa,
Od nas tylko cnoty czeka.
A największą cnotą świata,
Miłość szczera ku bliźniemu!
Odrzucacie dzieci brata?
Więc jałmużnę dacie Temu,
Co sam w naszych sercach czyta,
I sam tylko wié dokładnie
W któréj wierze prawda świta,
A na którą grom upadnie...
Dzieci! Dzieci! rzućcie sądy,
W których błądzą ziemi syny!
Chrystus patrzył li na czyny—
I poganom leczył trądy!
Więc słuchajcie! Oto, z Nieba—
Bóg was wzywa do jałmużny!
Bogu ciepła, karmi trzeba!
A człek, mówię, Bogu dłużny!"
I to mówiąc wszedł do chaty—
I powr ócił wnet z dziatkami.
„Któż z was Bogu poda szaty?
I nakarmi okruchami"?

W płacz uderzył tłum ów cały—
I wołają z głębi łona—
Męże „do mnie, do nas, mały!
Żony: „moja, nasza ona!...
Taki wiejski sługa Boży,
W owém siole był przed laty.
Taki ducha zwad ukorzy—
Prawdy rzuci siew bogaty.
Takich, pokąd nas tu stanie,
Mistrzów Twoich zsyłaj Panie!

Klemens Podwysocki.

KRYNICA.

Między lekami jakie przyroda dla cierpiącéj udzieliła ludzkości, wody lekarskie, pospolicie mineralnemi nazywane, jeżeli nie najpierwsze, to niezawodnie nie ostatnie zajmują miejsce. Nadzwyczajna ich ilość, wielka obfitość, tysiączne ich gatunki i odmiany, nasuwają na myśl wysokie znaczenie jakie w sobie zawierają. O ile zaś włączeniem wód lekarskich w skarbnicę leków pozyskała medycyna wielką rodzinę niemal najskuteczniejszych lekarstw, o tyle zdrojowiska, tychże wód dostarczające, mogą być ogromném źródłem rozlicznych korzyści, i dla tego zdroje lekarskie tak wielkie mają znaczenie pod względem medycznym, humanitarnym i polityczno-ekonomicznym.

Nauka balneologii (o wodach lekarskich) wywalczyła dzisiaj osobne dla siebie katedry w uniwersytetach, pozyskała za granicą oddzielne towarzystwa i swe własne czasopisma, których wyłącznym jest przedmiotem: zkąd się biorą i czem są wody, tudzież jak i na co skutkują, a nareszcie jak je spożytkować.

W Galicyi pomimo tylu i tak znakomitych wód mineralnych, do niedawna odłogiem jeszcze leżała ta naukowa niwa, a chwalebne usiłowania pojedyńczych na tém polu osób, niezeszły się dotąd w jedno ognisko, z któregoby skuteczna pomoc dla cierpiących, pożyteczna sława dla umiejętności i korzyści dla kraju spłynąć mogły.

Pierwsze dopiero Towarzystwo Naukowe Krakowskie, a mianowicie jego oddział nauk przyrodzonych i lekarskich, przejąwszy się znaczeniem przedmiotu, na wniosek Dra Dietla, na posiedzeniu swém d. 10 grudnia 1857 r. odbytém, zawiązało tak zwaną *Komisyą balneologiczną*, któréj celem jest naukowa opieka nad zdrojowiskami krajowemi, staranie o wzrost zakładów kąpielnych, a wreszcie, pośrednictwo pomiędzy władzami rządowemi a właścicielami tego rodzaju zakładów, w przedmiotach dobro zdrojowisk na celu mających.

Galicya posiada przeszło 190 dotąd znanych źródeł mineralnych, a około 30 już istniejących zakładów kąpielnych, reprezentujących ogromną wartość, bo przeszło 5,000,000 złr.

Znaczniejsze z nich są: Bolechów, Delatyn, Jaszczurówka, Krościenko, Krynica, Krzeszowice, Lubień, Niemirów, Rabka, Swoszowice, Szkło, Szczawnica, Truskawiec i w. i.

Powiedzmy choć kilka słów o *Krynicy*.

Krynica, wieś w obwodzie sądeckim, ma w swoim obrębie 14 źródeł wody lekarskiéj i posiada zakład zdrojowo-kąpielny, obejmujący 560 mieszkalnych, a 72 pokojów łaziebnych. Wody krynickie otwarte zostały dla całéj publiczności, dopiero w roku 1793.

Do chorób, jakie zgodnie z nauką i stuletniém doświadczeniem prawdziwe lekarstwo w tém miejscu znajdują, należą następujące:

1. Bezkrwistość, z wszelkiemi jéj odmianami, jako to: blednica, ogólne osłabienie i t. p.

2. Wady trawienia i odżywiania, jako to: długotrwały katar żołądka i jelit, owrzodzenie tychże organów z biegunką połączone, przeciw którym to cierpieniom woda krynicka jest najskuteczniejszém i prawie wyłącznem lekarstwem.

3. W rozlicznych cierpieniach kobietom tylko właściwych, zdroje krynickie okazały się tak zbawiennymi, że ani czas, ani nie sprzyjające dawniejsze stosunki zakładu, nie zdołały powstrzymać bardzo licznych pielgrzymek, jakie corocznie mnóstwo tego rodzaju chorych niewiast do Krynicy odbywało. Dla tego zdrojowisko to słusznie otrzymało nazwę: *kąpieli dla kobiet.*

4. Rozliczne cierpienia nerwowe, na braku krwi lub na osłabieniu oparte, zawsze z pomyślnym skutkiem tutaj leczonemi bywają.

5. Angielska choroba i skrofuły.

Krynica dla tak zwanych klimatycznych kuracyj, w obec zapewnionych tutaj wygód i przyjemności, jest niemal najpierwszą między karpackiemi zdrojowiskami, udzielając błogosławionego schronienia dla osób osłabionych po długich cierpieniach, po wielkiéj utracie soków żywotnych i dla nadwątlonych zbytkiem pracy umysłowéj.

Do miejscowych rozrywek należą bezwątpienia piękne spacery, po wygodnych chodnikach i parku, czytelnia książek, stałe gazety i pisma peryodyczne, muzyka, teatr polski, widowiska akrobatyczne, bale, wycieczki do sąsiedniego Bardyowa, Rzegiestowa, Muszyny i t. p.

Nakoniec, z odznaczających się w Krynicy budowli, na szczególniejszą zasługują uwagę: ogromne, z wysokim parowym kominem, łazienki, — pełna drogich pamiątek, choć skromna z powierzchowności, kaplica, — i nowy chodnik kryty, przeznaczony dla spaceru, podczas picia wód mineralnych.

OPOWIADANIE STASIA.

POWIASTKA,

przez

T. T. Jeża.

(*Dalszy ciąg*).

Kiedy to wszystko wichrem się przeniosło i z oczu mi znikło, wyszedłem na drogę i zabrawszy kapelusz pana Cochon, udałem się powoli do miasta. Nie wiedziałem, co to się stało. Mimowoli więc i mnie strach ogarnął. Począłem przyspieszać kroku i na zakręcie alei natknąłem się na ludzi w mundurach, z karabinami. Stali jeden naprzeciw drugiego, oddychając jak po zmęczeniu. Mundury i karabiny, na których byli oparci, natchnęły mnie do nich ufnością. Domyśliłem się że to muszą być ci sami, którzy mi przed oczami mignęli. Zatrzymałem się więc przed nimi, pozdrowiłem ich i o przyczynę zmęczenia spytałem:

— *Sacré braconnier!*...—odpowiedział jeden z nich — złapaliśmy go na gorącym uczynku... Mieliśmy go już w ręku...

— Powiedz raczéj, że bylibyśmy go mieli...—podchwycił drugi—gdyby się był drogi trzymał i za temi damami pomykał...

— O!... te damy!... cha cha cha!...—zaśmiał się pierwszy.

— Postraszyły się biedaczki...—zauważył drugi.

— Cóż się z temi damami stało?...—zapytałem.

— Nic...—odpowiedział zapytany—muszą już być w Fontainebleau... wypiją po szklance wody i strach minie...

— A wy, panowie, jeżeli wolno zapytać, cóżeście za jedni?...

— My *gardes champetres*...

Zamieniwszy z nimi jeszcze kilka wyrazów, udałem się do miasta...

W oberży, do któréj zajechaliśmy, zastałem dużo ludzi. Przyszedłem właśnie na to, jak mer wyprawiał żandarmów po odszukanie mego trupa. Z żandarmami wybierali się i ochotnicy. Mówiono o posłaniu po wojsko i o zrobieniu obławy. Z tłumu wznosiły się okrzyki:

— Tylko prędko!... jak najprędzéj!...

Słyszałem jak mówiono:

— Biedny młody człowiek!... Przyjechał z tak daleka, ażeby na francuzkiéj ziemi śmierć znaleść...

Ktoś inny znów mówił:

— Co za nieroztropność!... puszczać się w las samemu!...

Jakaś kobieta opowiadała, że mnie widziała, żem ją zainteresował:

— Taki młody!... taki piękny!...

Żałowałem późniéj, żem się nie schował i nie poruszył siły zbrojnéj. Niechby się byli przeszli. Nie przyszło mi to na myśl. Przecisnąłem się przez tłum, wszedłem do oberży i najpierwsza zoczyła mnie panna Filipina.

— Żyje!...—krzyknęła.

Jaksa skoczył z fotelu na którym jeszcze sapał.

— Ty nie zabity?!...

Pan Cochon i pani Cochon podbiegli razem ku mnie. Panu Cochon oddałem jego kapelusz i natychmiast stawiony zostałem przed mera do wyjaśnienia sprawy.

W krótkich wyrazach opowiedziałem co zaszło. Mer kazał żandarmów z drogi zawrócić; w zgromadzonym zaś tłumie miejsce żalu, przerażenia i litości, zajęła wesołość. Poczęto krzyczeć:

— *Vive Cochon!... Vive le courage!...*

Państwo Cochon nadrabiali miną; widocznem jednakże było, że im te okrzyki nie robiły wielkiéj przyjemności. Byliby może woleli, żebym był doprawdy zginął. Z kwaśną miną przyznawali się do radości, jaką im mój powrót sprawił, ale nie odzyskali dobrego humoru, aż tłum się rozszedł i zasiedliśmy do obiadu.

Ten wypadek popsuł pannie Filipinie natchnienie. Następną wycieczkę naznaczyła w obrębie Paryża: do *jardin des plantes* i na Panteon.

Jardin des plantes, to także las, ale paryzki, sztuczny i pilnowany przez policyą, a chociaż pełen drapieżnych zwierząt, lecz w żelaznych klatkach. Odwiedziliśmy lwy, tygrysy, lamparty, hyeny, niedźwiedzie, słonie, krokodyle etc., posiedzieliśmy pod cedrem i udaliśmy się do Panteonu, gdzie, zwiedziwszy co było do zwiedzenia, weszliśmy na galeryę otaczającą kopułę.

Prześlicznym jest widok z tej galeryi. Cały Paryż pod nogami. Żeby jednakże ten widok opisać, musiałbym chyba pożyczyć pióra od Wiktora Hugo. Nie będę więc nawet o to się kusił, a tylko krótko powiem, że mnie zachwycił. Chodziłem do koła i błądziłem oczami po téj mieniącéj się w rzut oka panoramie i prowadziłem rozmowę z panem i panią Cochon, idącemi krok w krok za mną.

— Pyszny widok...—powiedział pan.

— Zachwycający...—odpowiedziałem.

— Zachwycać się widokiem nie jest to to samo, co zachwycać się zachwyceniem... — wsunęła pani, kierując na Lucor lornetę.

— Czyjém?...—zapytałem od niechcenia.

— Młodéj naprzykład żony...—dostałem odpowiedź.

— Zapewne...—odparłem.

— Pan powinieneś się ożenić...—podchwyciła pani.

— Ożeniłbym się—odrzekłem—gdyby mi posag położono na stole...

— Jaki?...—zapytał pan.

— Sto tysięcy franków... — odpowiedziałem tonem pół żartu.

— *Voilà votre affaire* (oto interes dla ciebie)... — i wziąwszy za rękę pannę Filipinę, postawił ją przedemną.

Skłoniłem się i uśmiechnąłem, biorąc to jako żart.

— Mówię serjo...—rzekł pan — Filipina ma sto tysięcy franków posagu, które wraz z ręką będzie mogła wręczyć panu za dwa lata...

— Więc za dwa lata...—zacząłem.

— Ślub...—nie dając mi mówić, skończył pan Cochon—a teraz, w obliczu tego zachwycającego Paryża (tu pokazał ręką na miasto) i tego nieba (tu wzniósł do góry) zaręczyny...

I w moję dłoń włożył drobniutką rączkę panienki.

— Jak to pięknie!...—zawołał — Czy spodziewałem się zaręczać córkę na Panteonie!... Żono, podzielaj moje szczęście!... Kapitanie, bądź świadkiem mojéj radości...

Pani Cochon coś mówiła z uśmiechem, Jaksa także coś mówił—co?—nie pamiętam.

Opowiadał mi pewien cukiernik, jakim to sposobem odzwyczaja się chłopców od łakomstwa. Zostawia się ich w cukierni, przy

otwartych składach ciastek i przysmaków. Wiedzą oni, że to owoc zakazany, z tém większą przeto łapczywością rzucają się na tentujące specyały, pożerają, objadają się, chorują i potem można już powierzać im najsmaczniejsze łakocie. Złasują wprawdzie niekiedy to i owo, lecz szkody nie zrobią.

To samo jota w jotę stało się ze mną. Cukiernikiem było moje własne sumienie, chłopakiem—moja osoba. Sumienie na rozcież otworzyło wchody do zakazanych owoców, rzuciłem się na nie z łapczywością, pożerałem, objadłem się, zachorowałem i potem — już niekiedy tylko łasowałem. Czyniłem to, jak powiadają Francuzi, *pour acquit de conscience*. Natura tak była na mnie łaskawą, że nie dała mi wrodzonego do rozpusty popędu. Wszedłem na tę drogę, bo stała przedemną otworem; lecz przesyciwszy się, resztę ofiary paliłem na wolnym ogniu. Spieszyłem się pomału, alternując odpoczynki i orgije. W tém alternowaniu znajdywałem pewien rodzaj wysokiego zadowolnienia. Poznałem, że gdybym był do samego końca poszedł tym trybem jakim zacząłem, byłoby to wszystko jedno co wyrzucić pieniądze przez okno. Zmieniwszy zaś tryb, używałem z pewném umiarkowaniem, które moję egzekucyę przeciągnęło na dwa lata.

Dwa lata spędziłem w Paryżu. Mamże opowiadać dzieje tych dwóch lat?—Do dziejów potrzebne są dokumenta, a dokumentów miejsce mógłby zastąpić dziennik, gdybym go był prowadził. Czy mnie to w głowie było!... Pamiętam tylko, że dzień do dnia nie był podobny. Dziś jedno, jutro drugie, pojutrze coś innego, a choć się czasem co i powtórzyło, to miało to urok nowości dla tego, że każdą czynność—że poetycznego użyję wyrażenia — topiłem w morzu zapomnienia.

Jeszcze raz do poetycznéj ucieknę się przenośni. „Otaczałem się kłębami dymu,“ który się wydzielał ze wszystkiego, co w zakresie piękna Paryż miał na sprzedaż. Piękno na sprzedaż, to licytująca się roskosz, na którą się składają wyzwolone sztuki, kuchnia, piwnica i miłość. Czerpałem z tego wszystkiego. Szedłem wśród muzyki, śpiewów, tańców i malarstwa; zasiadałem do wykwintnie zastawionych stołów; miłość zlatywała w moje ramiona pod postacią baletniczek i śpiewaczek. Było mi pod nogami miękko, dokoła ciepło i pachnąco, w sercu pusto, w głowie lekko.

Pan Cochon doskonale mi się nadał Ile razy tylko zdarzyło mi się ziewnąć, zawsze on w téj chwili się jawił, jakby wywołany uderzeniem różczki czarodziejskiéj. Jawił się i jakąś nową ukazywał drożynkę, która mnie bądź do nowéj rozrywki, bądź do odpoczynku poprowadziła. A nie był bynajmniéj natrętny i naprzykrzony. Widywałem go wówczas tylko, kiedy jego *światłéj* pomocy potrzebowałem. Był to więc człowiek dla mnie nieoceniony. Przykro mi tylko było, że zaciągałem względem niego długi wdzięczności, długi, z których nie umiałem się wypłacić. Bo, czyż można było wypłatą nazwać to, żem za pannę Filipinę, która uchodziła za moję narzeczoną, na pensyi płacił? żem jéj całą szkolną kupił wyprawę? żem jej i pani Cochon prezenta dawał?—Ona, panna stotysięczna, i to nie na złote polskie a na franki licząc, nie potrzebowała tego. Cóż znaczyło dla niéj tych nędznych kilka tysięcy franków, com na nią rocznie wydawał!... A i tego nie miałbym był sposobności wydać, gdyby nie Jaksa, a raczéj gdyby nie jego proces.

— Cóż u djabła!... — mawiał ten ostatni — Temu głupiemu Francuzowi dawałem trzydzieści luidorów... wziął dwadzieścia a dziesięć oddał... Ja mu tkam w łapę i mówię: weź, a tylko dobrze chodź około mojéj sprawy!... a on mi na to: nie chcę!... Ja mu mówię: weź, to kupisz dla twojéj córki gościniec... a on mi na to: gościńce mojéj córce należą się tylko od pana Stanisława... Ja mu mówię: cóż za różnica pomiędzy mną a panem Stanisławem?... a on mi na to: ta różnica, że pan Stanisław jest narzeczonym Filipiny... Czyś ty doprawdy narzeczony téj Francuzeczki?

— Przecież byłeś świadkiem...— odpowiedziałem półżartem.

— Ja?!... świadkiem?!...

— Na Panteonie...

— Aha!... Kiedyż to jeszcze smarkate!...

— Dla tego też bez narażenia się na niebezpieczeństwo mogę jéj gościńce dawać...

— Dawaj!... Płać za nią na pensyi...

— Gotów się Cochon obrazić...

— Niech się obraża.. Ty zapłać, a on niech cię potem pozywa...

Zapłaciłem i pozwu nie dostałem, ale musiałem się bronić wymówkom, a bronić nie inaczéj, tylko w ten sposób, że ja jako narzeczony, mam prawo i obowiązek troszczyć się o wychowanie mojéj przyszłéj. Ten tylko powód z mojéj strony podany, usuwał skrupuły państwa Cochon i miał tylko tę dla mnie niedogodność, że utwierdzał pośrednio zaręczyny na Panteonie żartem zawarte.

Utwierdzenia tego jednakże nie brałem na serio, pomimo że pretekst tego rodzaju stawał się z dniem każdym coraz to niebezpieczniejszy. Panna Filipina rosła jak na drożdżach, figurka jéj kształtowała się i wypełniała, a brodaweczka nad ustami stawała się coraz to ponętniejszą. Po upływie roku panienka zmieniła się na pannę. Motyl rozwinął barwiste skrzydełka i trzepotał niemi do słońca. Jeszcze nie leciał, ale można już było przewidywać, co to będzie, gdy potrzebnych do lotu nabierze sił.

— *Sacré matin!...* — wywoływał Jaksa, który posunął znajomość francuszczyzny tak daleko, że się téj ulubionéj Francuzów klątwy nauczył—otóż to będzie dziewka, z tą brodawką pod nosem! Żeń ty się z nią... Jak wygram mój proces, wezmę ją na dwór, a ciebie wyszlę na jakie gubernatorstwo...

Ta brodaweczka pod nosem była, powtarzam, nadzwyczajnie ponętną. Nadawała ona fizyognomii dziewczyny wyraz jakiś taki niezwykły, że spojrzawszy na nią, chciało się spojrzeć jeszcze raz, a potem jeszcze raz, i jeszcze. Do tego dodać potrzeba, że była to Paryżanka, opatrzona od natury wrodzonym talentem wykazywania wdzięków, a chowania wad. A do tego że Paryżanka, dodać jeszcze potrzeba, że miała lat piętnaście, to znaczy, że jeżeli była piękną, to już wiedziała o tém, a oraz i o tém, że zadaniem piękności jest zawracanie głów.

Nie kochałem się w pannie Filipinie. Czyż byłem już w stanie rozkochać się!... A, toć musiałbym chyba posiadać serce jak oberża, podzielone na numera do posadzenia w każdym po jednéj lokatorce, rozdzielając lepsze dla dostojniejszych a gorsze dla pierwszych lepszych. Rzuciwszy się na łeb na szyję w wir życia ogłuszającego, objąłem miłością całą płeć niewieścią, to znaczy, nie kochałem żadnéj kobiety, a tylko upodobałem sobie raz tę, drugi raz owę, i to w sposób taki: w téj i owej upatrywałem jakąś szczególność, która mnie na chwilę zajmowała. W jednéj zachwyciły mnie oczy, w drugiéj usta, w trzeciéj szyja, w czwartéj dołki na jagodach, w piątéj wytoczenie ramienia, w szóstéj okrągłość piersi, w siódméj rowek idący od karku wzdłuż pacierzowéj kości, w ósméj kształt rączki lub nóżki, jędrność łytki albo wytok kibici, w pannie Filipinie brodaweczka. Nie zaglądałem do jéj duszy, nie kołatałem do serca: te rzeczy były dla mnie najzupełniéj obojętne. I kiedy pani Cochon mówiła:

— *La petite* (tak ją rodzice w jéj nieobecności nazywali) z każdym dniem pięknieje....

Myślałem sobie o czarnéj brodaweczce.

Kiedy pan Cochon mówił:

— *La petite* ciągle mówi o panu... kocha się...

Myślałem o czarnéj brodaweczce.

Dla téj brodaweczki, więcéj może jak dla niezrównanéj porządności pana Cochon, rzucałem owéj *la petite* tysiące franków. Rzucałem je dla oczu, dla ust, dla dołków w jagodach, dla nóżek, rączek, piersi, kibici etc. etc: dla czegoż miałbym nie rzucać dla brodaweczki!... Rzucając jednakże, jednéj nie dostrzegłem rzeczy,— a to: że oczy, usta, dołki, nóżki, rączki etc. nie miały za sobą rezerwy, złożonéj z ojca i matki, brodaweczka zaś miała. Tamte goniły w świat na wiatrach, jak listki od drzewa oderwane i same własne sprawowały interesa; ta zaś trzymała się konarów, które w jéj imieniu mówiły i za nią myślały. Dla tamtych wystarczały: klejnocik, gałganek, lub garść brzęczącéj monety; dla téj zaś klejnociki, gałganki i brzęcząca moneta, grały rolę jakiegoś preludium do czegoś, co miało nastąpić po spełnieniu szesnastu lat. Ani się przeto spostrzegłem jak nieznacznie wikłałem się w siatkę na wabik jednéj, malutkiéj brodaweczki.

Panna Filipina rosła. W czasie następnych wakacyj liczyła już piętnaście lat i znów jéj natchnienie dyktowało programy wycieczek—i podyktowało brzegi Renu. Pojechaliśmy. Nie towarzyszyli nam ani Jaksa, ani p. Cochon. Pierwszy dla tego, że:

— Co ja tam będę drapał się, jak koza po górach!...

Drugi dla tego, że musiał pilnować procesu, do którego dokumenta coraz to w większéj gromadziły się ilości. Formowały już spory plik, złożony z różnych tłumaczeń, poświadczonych urzędownie, z przyłożeniem pieczęci. Szło to powoli. Jaksa się niecierpliwił i na adwokatów wymyślał. Pan Cochon go mitygował, twierdząc, że na samo zebranie dowodów lat potrzepa. Zbierał więc dowody. My więc we trójkę ruszyliśmy nad Ren.

I objechaliśmy kawał świata. To dyliżansami, to statkami, dodarliśmy aż do Laufen i oglądaliśmy wodospad, o którym powiem nawiasowo, że cudny o wschodzie słońca przedstawia widok. W powietrzu napełnionem w parę rozbitemi bryzgami, formuje się mnóstwo tęczy, przerzuconych łukami barwnych mostów po nad kaskadę, szmaragdowym fartuchem z rykiem i szumem rzucającą się w spienioną topiel. Jest w tém coś nadzwyczajnie groźnego i nad-

zwyczajnie pięknego. Do piękności przyczyniał się krajobraz, ubierający wodospad w ramy górskich pejzażów.

Byłem w zachwyceniu. Coś we mnie grało wtórem temu grzmotnemu chórowi, od którego, zdawało się, ziemia drży w posadach. I ja drżałem drżeniem ziemi i na raz poczułem, jak ktoś lekko w ramię mnie trąca. Nie oglądałem się. Całą uwagę wytężyłem na widok, jaki miałem przed sobą. Lecz po kilku coraz to mocniejszych potrąceniach, musiałem się wkońcu obrócić.

— Patrz pan... — rzekła pani Cochon, parasolką, którą mnie trąciła, pokazując.

Puściłem wzrok w kierunku parasolki i spotkałem pannę Filipinę. Stała oparta o balustradę zamkowéj galeryi. Jéj twarz i cała postawa wyobrażały zapomnienie się i zachwycenie, które wydały mi się naturalnemi.

— Widzisz pan?...—zapytała.

— Widzę...

— Nie zachwycasz się?...

— Zachwycam się...

— O ileż to mocniejszém będzie pańskie zachwycenie, gdy ją jako żonę tu przywieziesz!...

Westchnąłem z żalu, że mi baba uwagę rozstroiła.

Przy każdéj okazyi nie omieszkała pani Cochon przypominać mi, że Filipina będzie moją żoną. Co ja miałem na to odpowiadać? —Odpowiadałem że będzie, albo nic nie odpowiadałem, nieobecność odpowiedzi zastępując bądź uśmiechem, bądź westchnieniem.

W jednem miejscu powiedziała:

—Ciekawą jestem, jakie też Filipinie w przyszłym roku przyjdzie natchnienie?...

Spojrzałem na Filipinę.

— Czy pan nie przewiduje?...

— *Ma foi*... nie...—odrzekłem.

— Gdybyście się mnie spytali, poradziłabym wam Włochy...

W owych czasach było już w modzie, po wykonaniu przysięgi na dozgonną miłość i wierność, wsiadać natychmiast do pocztowéj karety i tłuc się przez miodowe miesiące po oberżach. Rada więc ta była bardzo przezroczystą. Filipina się zaczerwieniła, bo chociaż była Paryżanką, ale miała dopiero piętnaście lat. Ja byłbym się także zarumienił, ale przed paru laty. Wówczas zaś uśmiechnąłem się do matki. Podobało się mi, że zażenowała córkę i wywołała na jéj jagody szkarłat, który dla czarnéj brodaweczki posłużył jako zmiana dekoracyi.


Chodnik kryty w Krynicy (str. 179).

Tego rodzaju przymówek ze strony pani Cochon było dużo. Powtarzały się one przez całą drogę, do tego stopnia, że w końcu już i panna Filipina i ja oswoiliśmy się z niemi. Ja bo niewiele sobie z nich robiłem, Wiedziałem, że w pięknych moich oczach może się kochać panna Filipina, ale dla pięknych moich oczu nie mogą państwo Cochon poświęcić dziecka. Goniłem już ostatkami.

— Do roku—myślałem—wszystko się skończy... Ciekawym, czy wówczas zechcą się przyznać, że zaręczyli mi córkę na Panteonie...

Bawiłem się myślą, jak to będzie, gdy ostatniego wydam luidora, gdy nareszcie powiem sobie:

— Nie mam nic i nie umiem nic...

Bawiłem się tą myślą. Przyznam się jednakże, że przejmowała mnie ona czémeś nakształt strachu, który się manifestował bardzo lekkiém zafrasowaniem. Zdaje mi się, że takiém zafrasowaniem musi drżeć serce człowieka, mającego popełnić samobójstwo. Cóżto było to, co nastąpić miało, jeżeli nie samobójstwo. Ja, ten „*ja*,“ którego całą wartością były pieniądze, zabijałem się własną ręką i miałem pozostać „*ja*“ bez żadnéj wartości. Zabija się w ten sposób i mnóstwo innych ludzi, ale niechcący. Ja zaś popełniałem na sobie samobójstwo dobrowolnie. Mimowiednie przeto począłem zadawać sobie zapytanie:

— Co to będzie?...

W obec tego zapytania myśl zaślubienia panny Filipiny i dostania wraz z jéj ręką sto tysięcy franków przejmowała mnie pewnym wstrętem. Gdybym ją kochał, to zapewne ani myślałbym o stu tysiącach franków. Będąc jednakże dla niéj obojętnym, kalkulowałem—i w rezultacie mi wypadało, że gdybym po utracie majątku wziął ofiarowaną mi rękę, to, albobym się sprzedał, albo też stanąłbym w obec własnego sumienia jako oszust.

Muszę się pochwalić. Traciłem wszystko, prócz sumienia. Pozostawało mi ono, jak ostatnia złotówka w kalecie szulera. Nie zrobiłem krzywdy nikomu, chyba niechcący. Nie chciałem przeto zrobić krzywdy i państwu Cochon, zabierając im sto tysięcy franków, dla téj jedynie przyczyny, że moje pieniądze strwoniłem.

Takim był mój sposób myślenia we względzie kwestyi ożenienia. Dziwiła mnie jedna rzecz. Pan Cochon wiedział o mojém położeniu; wiedział także i o tém, że mi jeszcze trochę pozostaje. Gdyby przeto serio myślał o oddaniu mi ręki córki, byłby mi otwarcie powiedział:

— Oszczędź tę trochę...

A on — nietylko mi tego nie powiedział, nie tylko mi tego do zrozumienia nie dawał, ale nawet, zdawało się, jakby mu chodziło o to, ażebym się jak najprędzéj zrujnował.

Jakiż naprzykład ojciec, przyszłemu zięciowi nasuwałby pomysły, jeżeli już nie do moralnéj, to do materyalnéj prowadzące ruiny?... Pan Cochon nasuwał mi takowe. Kiedy dziś nad tém rozmyślam, widzę jasno, że było to jego rzemiosłem, że był on poprostu ajentem przedsiębiorstw, spekulujących na gorącą krew młodych ludzi i na namiętności starych. Wówczas jednakże miałem go za wzór prawości i bezinteresowności—tak umiał się ułożyć..

Pod moralnym wpływem takiego człowieka, sprzymierzonego z Jaksą, któremu sukcesya po Ajaksach coraz to bardziéj, jak się zdawało, szyki w głowie mięszała, podążałem spiesznym krokiem do ruiny. Z dniem każdym pulares mój stawał się chudszy a worek lżejszy. Pieniądze płynęły jak woda. Zauważyłem, że coraz to więcéj szło na proces Jaksy. Zrobiłem mu raz z tego powodu uwagę.

— *Sacré matin!*... —odpowiedział—Cóż!... czy żałujesz?...

— Nie...—odparłem—robię tylko proste spostrzeżenie..

— Może myślisz, że Cochon trwoni?...

— I to nie: tylko się dziwię, że stosunkowo więcéj w tym, aniżeli w przeszłym wydaję ci roku.

— Cóż w tém dziwnego!... Dużo jest trudności z odszukaniem dokumentów... Nieboszczyk Ajaks jeden i drugi nie myśleli o tém, ażeby po sobie jakiś testament, jakiś chociażby świstek zostawić... Dla tego Cochonisko musi jak mól w starych się grzebać szpargałach, zbierać, szukać, dowiadywać się i kupować. Bo i stare szpargały się sprzedają i to drożéj jak wszystko... Wyobraź sobie, za jeden dokument całkiem przez móle zjedzony, zapłacić musiałem sto luidorów...

— Cóż po nim, jeżeli przez móle zjedzony!...—wsunąłem w rodzaju uwagi.

— Ba!... nadzwyczajnie ważny... Na pargaminie... Na dole jest ślad pieczęci... Podziurawiony jak sito, a pismo tak wygląda jakby muchy popstrzyły... Jabym nic tam nie wyczytał... Ale Cochon wyczytał, nie wszystko, jednakże tyle ile potrzeba... Po środku znalazł literę *A* wielkie, a na początku *j*, a gdzieś tam jeszcze *a* małe i *s* i *u* i drugie *s* i wypadło *Ajasus*... Braknie *k*... Mówiłem mu żeby je gdzie tam zgrabnie dopisał... Za to *rex* stoi jak najwyraźniéj... Nadzwyczajnie ważny dokument!... *Ajasus rex* niezawodnie jest *Ajaksus rex*... Muszę ci ten dokument pokazać, bo to nadzwyczajnie ciekawa rzecz... Cochon powiada, że po zdjęciu z niego wierzytelnéj kopii, można go będzie pierwszemu lepszemu gabinetowi za dwieście luidorów sprzedać... Zapłacą i jeszcze w rękę pocałują... Ale ja tego nie chcę... To pamiątka familijna, któréj bym za żadne nie odstąpił skarby...

Nazajutrz miałem ów dokument przed oczami. Nie jestem archeologiem; to jednakże pewna, że żaden najbieglejszy archeolog najmniejszego nie mógłby z niego zrobić użytku. Bo, jak powiada przysłowie „gdzie nic nie ma tam i król nic nie weźmie." Na owym dokumencie były ślady pisma, ale tak podziurawione, zatarte i zniszczone, że tylko gdzieniegdzie pojedyncze pozostały litery. Z tych to liter, zbieranych na całym arkuszu, zebrało się *Ajaksus rex* — w ten sam sposób, w jaki na każdéj stronnicy pierwszéj lepszéj książki możnaby te same ułożyć wyrazy.

— A co!.... — zawołał Jaksa tryumfującym głosem.

Ścisnąłem ramionami. Nie śmiałem z krytycznemi wyrywać się uwagami, bo pan Cochon był dla mnie powagą. Kiedy on przeto powiedział, że to dokument mogący posłużyć Jaksie do odzyskania sukcesyi po Ajaksach, wierzyłem, ale ślepo. Jaksa zaś wierzył całą gorącością przekonania i wynosił a wynosił luidory. Nie prowadziłem rachunków, więc nie jestem w stanie dokładniéj przypomnieć sobie cyfry. Mniéj więcéj jednakże, w drugim roku pobytu mego w Paryżu, na sprawę Jaksy pójść musiało około pięćdziesiąt tysięcy franków.

Ta sprawa, w połączeniu z wycieczkami i podróżami, dyktowanemi przez natchnienie panny Filipiny, z prezentami i płaceniem za nią na pensyi i z życiem jakie pędziłem, sprawiła, że prędzéj jak się spodziewałem, bo przed samemi wakacyami powiedziałem sobie:

— Nic nie mam i nic nie umiem....

I zapytałem siebie:

— A cóż teraz będzie?...

— A co teraz będzie?...

Pytanie to zadałem sobie na téj saméj miękkiéj, rozkosznéj, pysznéj kanapie, na któréj przed dwoma laty, po raz pierwszy w Paryżu, po trudach podróży, spocząłem.

Byłem sam. Puściłem fantazyi wodze. Zrazu w wyobraźni mojéj stworzył się jakiś chaos pełen ludzkich postaci. Mało po mału z tego chaosu poczęła się coraz to wyraźniéj wydzielać jakaś postać. Była to moja matka. Zrobiło mi się zrazu zimno, a potem rzewnie: zimno, bo pomyślałem sobie, coby to się z nią stało, gdybym był przyjął jéj zrzeczenie się praw, jakie jéj nieboszczyk ojciec testamentem zapewnił; rzewnie, gdym pomyślał, że tego zrzeczenia się nie przyjąłem.

— Dzięki Bogu... — rzekłem i z głębi piersi westchnąłem.

Za moją matką, w głębi, widziałem tłum różnych postaci; a każda zgięta była nad pracą, a nad każdą był anioł. Rzemieślnicy, rolnicy, uczeni, sludzy — tłum pracowników w dole, tłum opiekunów w górze. Szelest pracy zlewał się w jakąś harmonję z szelestem białych skrzydeł. Wsłuchiwałem się w tę harmonję i w umyśle moim poczęła się formułować odpowiedź na zapytanie:

— A co teraz będzie?..

Zacząłem ją już ujmować tę odpowiedź, gdy do salonu wszedł Jaksa z papierem w ręku. Wszedł, podał mi papier i powiedział:

— *Maitre d'hotel* spotkał mnie na dole i wetknął mi to....

Rzuciłem okiem. Był to rachunek z kilku ostatnich miesięcy. Skoczyłem równemi nogami i dłonią w czoło się uderzyłem.

— Co ci się stało!...— zawołał Jaksa.

— Nie mam czem zapłacić... — odparłem, rzucając rachunek na stół.

— I! głupstwo... — rzekł Jaksa siadając. — Daliśmy szelmie grubo zarobić.... Może poczekać.

— Czego się doczeka!.. Nie pomyślałem że mieszkamy i za mieszkanie płacić trzeba... Przeklęte roztargnienie!.. Jedyny dług... Ciekawym ile wynosi...

Wziąłem rachunek i przeczytałem głośno ogólną summę:

— Siedm tysięcy ośmset pięćdziesiąt trzy franki... Na to wszystko nie mam nic...

— Jakto, nic!.. — podchwycił Jaksa. — Przecież masz Kopystyńce...

— Kopystyńce nie moje...

Chciał Jaksa coś powiedzieć: usta się mu otworzyły, oczy rozwarły i zdawało się, że na chwilę w téj pozycyi skamieniał. Nagle głową pokiwał, szyderczo się uśmiechnął i, w pewnych odstępach, następujące uczynił wyrazy:

— Ależeś dureń.... Oto-ś dureń.... A!... dureń...

Stanąłem przed nim, patrząc mu w oczy z pytającym uśmiechem.

— Masz Jaksusiu rację.. Tylko mi ten dług dolega.

Jaksa przez chwilę milczał. Po chwili pogładził wąsy, rozpłomienił oblicze i wstając a biorąc kapelusz, rzekł:

— Jakoś temu zaradzimy... Powiedz temu durniowi, że mu zapłacisz, nie trać fantazyi, nadrabiaj miną...

Kiedy on to mówił i wkładał na głowę kapelusz, ja ująłem sznurek od dzwonka.

— Co robisz?!... — zawołał.

Dzwonię na *maitre d'hotel*... Chcę mu powiedzieć, że nie mam czém płacić....

Jaksa poskoczył, pochwycił mnie za rękę i od dzwonka odprowadził.

— Zwarjowałeś!... Poszle po komisarza policyi i każe cię wziąć do kozy, jako oszusta...

Zrobiło mi się słabo.

Jaksa posadził mnie w fotelu.

— Siedź-że... Natychmiast powrócę...

Wyszedł. Zostałem pod wrażeniem strasznéj jakiejś zmory. Żółte plamy krążyły mi przed oczami. Wyraz „oszust" począł po moim mózgu koziołki wywracać i napełnił mi głowę takim szumem, że nie byłem w stanie trzech wyrazów w sensowną myśl złożyć.

Nie wiem jak długo w tym stanie przesiedziałem. Siedziałem jeszcze, kiedy wszedł Jaksa a z nim pan Cochon.

Widok tego ostatniego orzeźwił mnie. Był, jak zwykle, szarmancki, uśmiechnięty i spokojny. Jaksa o wszystkiém go już uwiadomił, więc nie potrzebowałem opisywać mu mego położenia.

— To bagatela...— mówił. — Jeżeli mi pan pozwolisz, pomówię z *maitre d'hotel*, poczeka, a po szlubie mu pan zapłacisz...

Westchnąłem. Prędko oceniłem moje położenie. Przedemną stała alternatywa: albo za siedm tysięcy ośmset pięćdziesiąt i trzy franki iść do kozy jako oszust, albo też za tęż summę sprzedać się. Wybrałem to ostatnie. Ułomność natury ludzkiej przemogła we mnie wstręt do tego małżeństwa. Ale — w jakimże blasku bezinteresowności i prawości stanął w mojém mniemaniu pan Cochon! Uścisnąłem jego dłoń z głębokiém wzruszeniem i nie mogłem więcéj powiedzieć, tylko:

— Dziękuję...

On jednakże odgadł co chciałem mówić, bo odparł:

— Co tam, panie Stanisławie!... Czyż mogłeś pan przypuszczać, ażebyśmy pana w potrzebie opuścili?.. pana, którego już uważamy za należącego do naszéj rodziny?... Filipina jest już w domu... Chodzi tylko o zadośćuczynienie pewnym formalnościom... Za kilka dni staniesz pan z panną Filipiną przed merem, podpiszecie kontrakt i...

— Wrócę do matki!... — zawołałem, uradowany, że, jeżeli już sam się sprzedaję, to przynajmniej biedną moję matkę ucieszę synową.

— Wyjąłeś mi pan z ust!..— podchwycił pan Cochon. — Niczego innego żądać nie mogę... Więc przygotowuj się do szlubnego aktu... Odchodzę, a mimochodem pomówię z *maitre d'hotel*... O nic się nie troszcz... kontrakt gotowy do podpisania znajdziesz w merostwie... Do widzenia... Bądź spokojny...

— A co!..— zawołał Jaksa, wysoko na tryumfalny ton nastrojonym głosem, gdy pan Cochon był za drzwiami. — A widzisz, żeśmy znaleźli sposób... Podziękujże mnie, żeś głupstwa nie spłodził....

Nie dziękowałem. Stojąc przed oknem, w milczeniu i bez myśli błądziłem okiem po zacieśnionym budynkami horyzoncie. Byłem upokorzony, głęboko upokorzony. W streszczeniu postawiłem sobie w myśli własną przeszłość. Ja, człowiek niegdyś bogaty, wyciągnąłem rękę po majątek. Przypadkowe zapomnienie, roztargnienie zburzyło moję męzkość i kazało mi, niby najsłabszemu pomiędzy słabemi stworzeniami, schronić się pod opieką szesnastoletniego dziewczęcia. Brzydziłem się sam sobą i nie mogłem sobie wytłumaczyć, dla czego państwo Cochon i panna Filipina mną się nie brzydzą. Postępek ich względem mnie wydawał się mi wysokim heroizmem.

Potrzebowałem przejść się dla rozerwania trochę umysłu. Opuściłem więc Jaksę, który coś mówił. Schodząc ze schodów spotkałem *maitre d'hotel*, który mi z tak dziwnie jakimeś szyderczym

ukłonił się uśmiechem, że miałem ochotę spytać go o powód szyderstwa. Zamiast tego jednakże zatrzymałem się i zapytałem, czy się widział z panem Cochon.

— Tak... — odpowiedział. — Miałem ten *zaszczyt*... *Ten pan* wyjednał dla pana dziesięciodniową zwłokę... Uprzedzam jednakże pana, że po dziesięciu dniach odwołam się do całéj surowości prawa...

Musiałem zblednąć, bo czułem jak mi krew z twarzy uciekła. Ostatni frazes *maitre d'hotel* wymówił uroczyście i dobitnie, inne jednakże drwiąco, a wyrazy *zaszczyt* i *ten pan* miały w sobie coś sztyletowego, co mnie do serca przenikło. Poszedłem i długo do późna błądziłem po ulicach i bulwarach.

Za kilka dni miał nastąpić mój szlub. Położenie moje uwalniało mnie od wszelkich prezentów i gościńców. Nie kupowałem tego co Francuzi nazywają *corbeille de noce*, z tej prostej przyczyny, że nie miałem za co. Z téj także przyczyny nic sobie nie sprawiałem. Z téj również przyczyny, chcąc sobie upokorzenia oszczędzić, mojéj przyszłéj nie widywałem. Z téj niemniéj przyczyny, całém mojém w przedszlubnych dniach przepędzaniem czasu, było gapienie się po Paryżu. Tłukłem się, jak Marek po piekle, nie mając nawet za co zajść do kawiarni i zagrać w domino o kawy filiżankę. Jedyny jeszcze kredyt, na słowo pana Cochon, pozostał mi w hotelu, gdzie służba od niechcenia mnie traktowała, i ten kredyt przez kilka dni był osią koło której moja egzystencya się kręciła.

Z Jaksą rzadko się przez ten czas widywałem. Przyjaciel mój gdzieś na własną włóczył się rękę. Spotkałem go raz wchodzącego do Ambigu Comique, drugi raz wychodzącego od Refoura.

— Idziesz do teatru?.. — zapytałem go pierwszym razem.

— A co ma człek lepszego robić!... — odpowiedział i wszedł do gmachu teatralnego.

— Jadłeś obiad u Refoura?.. — zapytałem drugim razem.

— A co ma człek sobie żałować!.. — odparł. — Tyle mego, co zjem i wypiję....

— I ja bym poszedł, gdybym miał za co . . . — rzuciłem od niechcenia, nie chcąc wręcz go pytać zkąd pieniądze bierze.

— Ha!.. — odpowiedział, robiąc ręką znaczący giest.— Trzeba było trochę lepiéj grosz szanować... Ale bądź cierpliwy... I dla ciebie dobre czasy powrócą... Gdyby nie ja, byłbyś już rozmyślał nad marnościami świata pod dobrym zamkiem, pomiędzy czterema ścianami...

Dostrzegłem że przez tych kilka dni wyraźnie mnie unikał. Jaki miał do tego powód?— nie wiem.

Spotkaliśmy się ze sobą ostatecznie w wigilją szlubu. Jaksa przyszedł wcześniéj jak zwykle, usiadł w fotelu, zapalił cygaro, założył nogę na nogę i rozgadał się:

— No, jutro tedy będę na francuzkiém weselu... Głupie to będzie wesele... Szlub o trzeciéj po południu... To rozumiem... Ale tego nie rozumiem, dla czego zaraz po szlubie macie jechać na cukrową wieczerzę aż do Kopystyniec... Cóż robić! Co kraj to obyczaj... Ja za wami pospieszę: bo cóżbym tu sam w Paryżu robił?... Cochon dopilnuje mojéj sprawy, o to mogę być spokojnym, a mnie do Kopystyniec coś ciągnie... Człek tam utył...

— Wszak jedziesz razem z nami... — wsunąłem.

— Razem, ale drugim powozem... Cóżbym ja z wami w jednym robił powozie?... Wy będziecie się całowali, a na ten widok ze mnie by się wszystka ślina wytoczyła...

Pomilczawszy przez chwilkę, ciągnął dalej:

— Trzeba będzie kazać tłomoki popakować... o trzeciéj szlub... Po szlubie panna młoda się przebierze... Nie wyjedziemy więc jak, najwcześniéj, o czwartej, najpóźniéj o piątej... Więc obiad wypadnie nam na pierwszéj przemianie koni... Djabli wiedzą, czy będzie tam co jeść!.. Mówiłem o tém Cochonowi, a on mi na to, że tu taki zwyczaj... *Sacré-ż* im *matin* z ich zwyczajami!... Powiadał mi, że państwo młodzi nie mają apetytu... Dobrze... to państwo młodzi... A ja?...

— Cóż ja mam z sobą przed trzecią robić?.. — zagadnąłem.

— Nic... Czekać... Cochon przyszle tu remizę... Wsiądziemy i pojedziemy... Ja mam być niby twoim starostą...

(dokończenie nastąpi.)

WIĄZANKA.

Bodaj to żyć w Warszawie! Chociaż to życie idzie po grudzie, jak mi Bóg miły—niech przyjdą takie np. jak niedawno Zielone Świątki, a doprawdy że niewiadomo którą wpierw wybrać z miejskich i zamiejskich przyjemności. Wszystko cię nęci. I wycieczka w drugie święto do Kamedułów na Bielany—i Koncert Bilsego w Dolinie Szwajcarskiéj i Kaskada pod Marymontem—i Prado, ze swym zakładem spacerowo-gastronomicznym, za rogatkami Wolskiemi - i Tivoli—i przedstawienia na linie miss Spelterini, na folwarku Sto Krzyzkim—i Łazienki—i Teatr—i t. d.—i t. d.— Jesteś jak w labiryncie, albo raczéj, jak ten koń między dwoma apetycznymi żłobami, nie wiedząc z którego napocząć, nie wiedząc gdzie się wprzód udać.

Zdawałoby się że na Bielany. Toć cała prawie Warszawa tam ciągnie. Starzy, młodzi, ojcowie, matki, dzieci, panny, kawalerowie, służący, rzemieślnicy, wyrobnicy, karety, powozy, dorożki—wszystko, wszystko tam dąży, biegnie, jedzie, płynie—odwiedzić erem i Kościoł, grób Staszica, podziwiać schludne, pustelnicze domki zakonników, pomodlić się, pospacerować w szumiącym lasku, poromansować, potańczyć, zabawić się na karuzeli, na djabelskim młynie, napić się, upić się, zmęczyć i naśmiać się, choćby nawet z dziadowskich śpiewów, rozlegających się straszliwém echem przy klasztornéj bramie, na rozmaite głosy, tony, melodye, tempa, wśród najpociesznieszych nieraz z ich strony komedyj, udawania, mimiki i tym podobnych, mających wzbudzać w zatwardziałéj kieszeni litość, akcessoryj. Ho, ho! dziad warszawski, żebrak z profesyi, nie taki głupi jak się wydaje. Wié on jak się do kogo odezwać, jak się skrzywić, zapłakać, jęknąć, westchnąć, jak owiązać ręce, nogi, głowę, jak się nawet okaleczyć, zeszpecić, jak dziękować i modlić się za grosz, za dwa, pięć i dziesięć groszy, wié gdzie być dziadem a gdzie być sobą, gdzie wypalić papierosa a gdzie cygaro, gdzie ogryzać spadłe ze stołów gnaty a gdzie zjeść gęś pieczoną, gdzie palnąć wódki, piwa, a gdzie pączu i araku. A ich pieśni—cóż to za szczególniejsze utwory! Zbierania z kantyczek, krakowiaków, mazurów i szczypta własnéj ich poetycko-rymarskiéj fantazyi. Naprzykład:

Wędrujże Jewo z raju,
Wędrujże Jewo z raju,
Bo cię tu wszyscy znają,
Bo cię tu wszyscy znają,—etc.
Albo:
Swięty Łukasz wanielista,
Swięty Łukasz wanielista,
Maluwał ci obraz z czysta,
Maluwał ci obraz z czysta.
Nie mógł ci go umaluwać,
Nie mógł ci go umaluwać,
Musiał ci się da i przespać,
Musiał ci się da i przespać—etc.

Otóż to takie i tym podobne wrażenia najwięcéj każdego uderzają i zastanawiają na Bielanach—na tych ponętnych Bielanach, które, można powiedzieć, tém są w drugi dzień Zielonych Świątek dla warszawian, czém Mekka dla wyznawców Mahometa.

Zdawałoby się więc, że i my powinnibyśmy się tam wybrać. Ale nie— stało się inaczéj, dla stu pięćdziesięciu przyczyn, a przedewszystkiem że nie lubię tego rodzaju odpustów, połączonych z komedyami, hecami, kurzem i trzydziestotysiączném rojowiskiem ludzi.

Zamiast przeto rozpisywać się szczegółowo o Bielanach, pomówmy coś... o Teatrze:

Znaliśmy i podziwialiśmy nieraz Dawisona. Sławny ten tragik, uwielbiany na całym ucywilizowanym świecie, stracił głos, słuch i pamięć. Czasami tylko i to z wielkim trudem sili się aby wypowiedzieć wyjątki z ról przez siebie grywanych. Pisma jego poznać niepodobna. Jedném słowem, artysta ten, pomimo powszechnego uznania, dostatków i szczytu sławy, znajduje się obecnie w godnym opłakania stanie umysłowym.

Królikowski wyjechał na dwumiesięczne ferye.

Dnia 24 Maja przedstawiono pierwszy raz w Teatrze Rozmaitości jednoaktową komedyą pp. Carré i Deslandes, p. t. *Dzień z życia Diderota*, utwór nieosobliwy, a podtrzymywany tylko znakomitą grą Królikowskiego. Widać że autorowie chcieli jakąś myśl w téj komedyi przeprowadzić, ale cóż, kiedy jéj nie przeprowadzili należycie, a sztuka przez to stała się nudną i wcale nie zajmującą.—Jakby w nagrodę za doznany zawód, ujrzeliśmy d. 26 z. m. na scenie Teatru Wielkiego, znany nam już dramat J. Korzeniowskiego, p. t. *Żydzi*, w którym rolę Staroświeckiego grał po raz pierwszy Rychter, a grał ją z całą naturalnością i prawdą, z zupełném przejęciem się nią, odtwarzając nam typ, jak gdyby wprost zdjęty z rzeczywistości, i dowodząc po raz tysiączny czynami tego słusznego zdania, że taki jak on artysta, nietylko jest perłą i ozdobą naszéj sceny, ale nawet jéj niezbędnym warunkiem—koniecznością.

— Panie Józefie, zagadnąłem go raz z uśmiechem, nie godzi się grać tak dobrze. Ręce mnie bolą od oklasków . . .

— Wolne żarty.

— Prawdziwie. Ale czy mogę pana zapytać, jakim sposobem doszedłeś do téj znajomości serc i charakterów ludzkich, które nam tak doskonale przedstawiasz?

— Pracą, ciężką, kamienną pracą, w najdrobniejszych szczegółach i w najłatwiejszych napozór rzeczach. Spytaj się pan Królikowskiego, co ja ze sobą dokazywałem, mając lat 18, gdyśmy jeszcze razem z nim należeli do jednéj z trup prowincyonalnych i razem ze sobą mieszkali.

— Nim Królikowski powróci, nie możnaby tego samego z ust Pańskich usłyszeć.

— Mniejsza o to, opowiem panu jeden fakcik. W 18-ym roku życia, miałem rumianą, pełną i okrągłą twarz jak księżyc. Twarz wyrobiona u arty-

sty, to wielki, bardzo ważny przymiot na scenie. Pewnego razu, z rana, jeszcze przed śniadaniem, Królikowski się do mnie odzywa:

— Wiesz co, Józefie, grałeś wczoraj swą rolę wybornie, z życiem, przejęciem się i zapałem. Ale niech cię licho — z twoją twarzą! Pucołowata jak dynia, nic się na niéj nie przebija. Jedna, zawsze jedna i ta sama. Ani razu się nie ściągnie, nie zmarszczy, nie skrzywi. Do czego to podobne? co ty z taką twarzą zrobisz? jak oddasz charakter, namiętność?..

— Cóż pocznę, poradź mi?..

— Cóż, cóż—krzyw się, łam, wyginaj, udawaj kogo chcesz. Zrób np. taki grymas.... Nie tak, tak jak ja—skrzyw się—bardziéj, jeszcze bardziéj... A, z taką twarzą! Nic nie znać. No, nie mam czasu siedzieć tu z tobą. Uważasz, zrób taki grymas... A teraz masz lusterko; patrz w nie, krzyw się, jak ci się tylko podoba i rób tak jak ja, to się wprawisz. Bądź zdrów!

— Rzekł i poszedł do miasta.—Po jego odejściu, najpoważniéj w świecie siadłem przed lusterkiem i dopóty się męczyłem, dopóty wykrzywiałem szczęką, ustami, nosem, brodą, aż nareszcie zdawało mi się, że mogę już okazać jakiś grymas. Siedziałem więc daléj z tryumfującą miną, krzywiłem się, przeglądałem się i kręciłem głową jak waryat na wszystkie strony. Minęło śniadanie, minął obiad—ja nic na to nie zważałem. Siedziałem wciąż i krzywiłem się. Nareszcie późno po południu wpada Królikowski. Wszedł, spojrzał na mnie i parsknął wesołym śmiechem.

— Więc ty ciągle siedzisz i krzywisz się?

— Ciągle. Patrz, patrz, zrobiłem....

— E, gdzie tam! Nic nie znać. Ha, Ha, tak długo siedzieć i krzywić się!!...

I znów się rozśmiał. Wziął się za boki, położył się na łóżku ciągle się śmiał. Śmiał się ze mnie i mojéj cierpliwości, do upadłego.—Ot, widzisz pan, zakończył Rychter, zrobienie prostego grymasu ile mnie to pracy kosztowało! A cóż to tu mówić o rzeczach ważniejszych?..

Z Teatru przejdźmy do literatury:

P. Józef Unger zachęcony powodzeniem dziełka: *Oblężenie Paryża*, drukuje przekład innego dziełka, treści także zaczerpniętéj z ostatniéj wojny, p. t. *Sedan*.



Kaplica w Krynicy (str. 179).

Mirosław Dobrzański wydał zbiorek swoich ulotnych poezyj, p. t. *Wstępne akordy*. Zbiorek ten odznacza się prostotą uczucia, spokojem, a przytém gładką i wyrobioną formą.

P. Ejsmund, Student Uniwersytetu w Kijowie, wydaje także książkę zbiorową p. n. *Co Bóg dał*, z któréj dochód przeznaczony jest na korzyść niezamożnych studentów.

Wyszła niedawno z druku: *Filozofija natury*, Dra Lewittoux, w wydaniu francuzkiém, z trzeciéj polskiéj edycyi. Dzieło to, jako naukowe do gruntu, zasługuje na uwagę myślących.

W tych dniach, na pociechę gastronomów, wyszła szósta edycya: *Jedynych praktycznych przepisów wszelkich zapasów spiżarnianych, przez autorkę 365 obiadów za 5 zł.*

Dr. Karól Estreicher, bibliotekarz biblioteki Jagiellońskiéj, rozpoczął druk trzeciego zeszytu, olbrzymiego wydawnictwa, *Bibliografii Polskiéj*.

Dr. Wituski wydał w Poznaniu rozprawę wysokiéj wartości: *O życiu, i dziele optyczném Vitelliona.*

Kostomarow wydał w trzeciém wydaniu *Bohdana Chmielnickiego*, poprawionego i uzupełnionego, jak autor zapewnia, podług nowych źródeł. Pomimo jednak tych nowych źródeł, praca ta nie jest wolną od błędów.

Profesor Sołowiew wydał część swéj *Historyi Rossyi*. Ciekawemi są również publikacye Romanowicza-Słowińskiego: *Szlachta w Rossyi*,—Antonowicza: *Miasta południowo-zachodnie w Rossyi*,—Ks. Wasilczykowa: *O samorządzie w Anglji, Francyi, Niemczech, Ameryce i Rossyi.*

Może dosyć już tego będzie na dziś?..

Za pozwoleniem—jeszcze chwileczkę cierpliwości.

Dowiadujemy się, z wielką pociechą, o zamiarze osuszenia zwierzchnich pokładów kopalni Olkuskich. Osuszenie to umożebni wydobywanie galmanu, t. j. rudy cynkowéj, któréj ogromna ilość znajduje się w górnych warstwach dawnych Olkuskich kopalni. Dalszém zaś następstwem tego osuszenia może być wynalezienie środka do usunięcia wody zalewającéj głębsze warstwy srebrodajnego ołowiu.

W pierwszéj połowie Maja r. b. odbył się w Opatowie koncert amatorski na rzecz miejscowego szpitala.

Loterya fantowa w Saskim ogrodzie na korzyść Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, odbędzie się w tym roku w d. 17 b. m.

Gazety niemieckie powiadają, że straty armii niemieckiéj poniesione w ostatniéj wojnie z Francyą w zabitych i rannych wynoszą: 4990 oficerów i 112,038 żołnierzy.

Proszeni jesteśmy od dotychczasowego Wydawcy naszego pisma, o umieszczenie własnych jego następujących kilku słów:

„Pewne pisemko tygodniowe, wydawane w Warszawie nie w innym celu, jak tylko żeby odpowiedziami mu udzielanemi, reklamować o jego istnieniu, rzuca się na wszystko i wszystkich. Gdyby wtych napadach był jeszcze dowcip lub przynajmniéj sens jaki, albo dążenie szlachetne do poprawy obyczajów — przebaczyłoby się jego dziecinnym wybrykom. Ale że to pisemko rzuca na wiatr czcze słowa i krzyczy aby krzyczeć tylko, przeto ze względu zaczepki jaką otrzymałem za Wydawnictwo Opiekuna Domowego od tegoż młodzieniaszka, oświadczam, iż błędném jest, aby drzeworyt w N. 21 Opiekuna umieszczony a wyobrażający kopalnie soli w Wieliczce, był wzięty z magazynu Powszechnego, przed kilkudziesięciu laty wydawanego w Warszawie. I owszem, drzeworyt ten w roku zeszłym zrobiony do jednéj z pierwsych w Europie illustracyi czeskiéj „Swietozor" następnie odstąpiony „Mrówce"—a ztąd dopiero powtórzony został z oryginału w Opiekunie Dom. i przedstawia wyższe piętra kopalni w Wieliczce, a zatém oddawna nieulegle żadnéj zmianie, więc koniecznie podobne choćby nawet i do starych jéj wizerunków. Zwracam na to uwagę Szanownych czytelników i najmocniéj ich przepraszam, że odważyłem się odpowiadać pisemku—pisemku będącemu smutnym wyrazem, do czego to brak nauki i taktu doprowadzić może."

Czego u nas więcéj potrzeba—czy nowych pism peryodycznych, czyli też zakładania przytułków dla dzieci?... Nie jestem statystą, ekonomistą, ani moralistą,—niech więc tę kwestyą rozwiążą specyalni statyści, ekonomiści i moraliści. Podaję tylko fakta. Do dotychczasowéj u nas liczby pism peryodycznych, przybędą: *Niwa*, *Figaro* i jedno jeszcze dla dorośléjszéj młodzieży. Redakcya zaś *Merkurego*, po uzyskaniu zatwierdzenia nowego programu, ma się stać organem specyalnym, poświęconym przemysłowi i rzemiosłom—i przechodzi pod kierownictwo Aleksandra Makowieckiego, obecnego dyrektora Stowarzyszenia Merkurego.— Z przytułków zaś dla dzieci, jak słyszeliśmy, przybędzie tylko jeden — i to uorganizowany oddzielnie od istniejących już przy Warsz. Tow. Dobr.

Wydawca, Mieczyński Adam.— Дозволено Цензурою. 26 Мая (7 Іюня) 1871 г.— Redaktor, Franciszek Gumowski.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. b.